

— Jakto? nas nie liczycie!? — zawołała Baumritt z uśmiechem na ładnej twarzy.

Spojrzał na nią i potrząsł głową, przecząco. Ujrzał ją modnie wystrojoną, siedzącą z ostrożnością płochliwego ptaka, aby nie zмяć sukni, w półprzezroczystej bluzce, przez którą przeświecały delikatne ręce, z oczyma błyszczącymi uciechą i pożądaniami życia.

— Wy, koleżanko?! Alboż wy znacie robotnika, czy dotknęliście, już nie mówię duszy i uczuć, ale materyjalnej biedy i nędzy jego? I jak dziwną sprzeczność stanowiliście z czarnym, osmalonym od dymu i ognia robotnikiem. Powalałby waszą jasną suknię, nie poczułby waszej ręki w swej twardej, spracowanej dłoni.

— Więc wy odsuwacie kobiety! — zaśmiała się drwiąco — ładna mi równość!

— Nie, nie odsuwam — zawołał z żywością i mimowoli spojrzał na Olę — lecz niech każdy obiera sobie zakres pracy, właściwy jego usposobieniu i sile. Wy możecie się zająć dziewczętami pracującymi, dziećmi...

— Ja nie mam zdolności pedagogicznych — uśmiechnęła się — jak Eisenfach, która zbiera dzieci z ulicy i uczy je prawdopodobnie socjologii... Ja chcę agitować, działać, wpływać...

— Nasza praca jest mrówcza — odpowiedział poważnie — a bohaterstwem jest wytrwałość.

Słowa jego nie wzbudziły zapалу wśród słuchaczy. Oni młodzi, pragnęli czynu, bohaterstwa, odznaczenia, chociażby drogo okupionego, a praca cicha, bezimienna, nieustanna nie mogła ich zadowolić. Odczuł on ten ich nastrój i mówił:

— Nie sztuka zabłysnąć meteorem, rozświetlić grozę położenia na chwilę i zagasnąć. Nie pracujemy, nie poświęcamy się dla własnej chwały i rozgłosu, ale dla szczęścia całej ludzkości. I nie my, lecz ludzkość dziś umęczona i poniewierana ujrzy słońce wolności i szczęścia!

Słowa te podnieciły Waldmana, zawsze skłonnego do frazeologii; wstał i wskazując ręką na miasto, zawołał:

— Tam widzę krwiożercze pająki! Wyzyskują i kapitaliści! Oni zbudowali sobie kamienice, pałace, wspaniałe domy i urządzili się w nich wykwintnie, zbyt kownie, wygodnie, a inni, a ci, co pracują, toną w nędzy, w głodzie, w umęczeniu. Nie mają miejsca ani czasu, aby utrudzone ciało spoczęło. Ale my to zmienimy! W ich pałacach i mieszkaniach rozsiądą się robotnicy! A te ich kościoły przemienimy na sale wykładowe i koncertowe! Ich kodeksy, ich przepisy spalimy, bo lud robotniczy uchwali nowe prawa!

W chwili, gdy skończył, odezwał się głos drwiący:

— Dzieci, źle się bawicie!

Wszyscy zwrócili się w tę stronę głosu i poznali Zbrojskiego, na którego bladej, zmęczonej twarzy widać było uśmiech przyjaźni i wyrozumiałości.

— Ach, to wy kolego! — zawołał serdecznie Żalecki — siadajcie, co was aż tu przyгнаło?

— Zapewne to, co i was — usiadł pomiędzy Olgą i Żaleckim — chcę obaczenia wiosny przed zimą... Poznałem głos kolegi Waldmana i zbliżyłem się.

— Co rozumieliście pod waszym wykrzyknikiem? — spytał Waldman chmurny.

Odetchnął głęboko, zdjął kapelusz, otarł chustką spoczone czoło i rzekł spokojnym, równym głosem, trochę przyciszonym, cierpiał bowiem na chroniczny ból płuca:

— Póki, kolego, wygłaszacie krańcowe zdania wśród kolegów, wam sprawa to może przyjemność, a im nie szkodzi... Inna rzecz z robotnikami.

— Inna! Inna! — drwił Waldman — bo wy boicie się uświadomienia robotnika! bo skończy się burżuazyjne panowanie! Z was strach przemawia!

— Strach?! — podniósł na niego wymowne oczy — czegoż ja mam się bać? Majątku nie mam, życia nie wiele, cóż mam do stracenia?

I tyle smutku bez goryczy, tyle rezygnacji było w jego głosie, że wszyscy spojrzeli ze współczuciem na niego i sam Waldman, spuściwszy oczy, szepnął:

— Ja nie chciałem was dotknąć... ale dlaczego stajecie w obronie kapitalistów?

— Istotnie, kolego Zbrojski — zwrócił się do niego Żalecki — wiecie, jak was szanuję i cenię, ale tej waszej niechęci do socjalizmu, tego wiązania się z narodowcami nie rozumiem... Spójrzcie bezstronnie na miasto nasze, wszak je dobrze znacie — mówił podniecając się zwolna — nieliczna gromadka używa wygod, wywczasu, korzysta z dobrodziejstw cywilizacji, z udogodnień wynalazków i kultury... i ta garstka pasorzytów ciągnie

soki ożywcze z kroci biedaków pracujących, gniecie tę falę żywą i płynię, pławi się w promieniach dobrobytu, zbytku, rozkoszy. Lecz patrzcie, oto ta żywa fala, czarna z potu, zakrwawiona z nadmiernej pracy i wyzysku, drgnęła, poruszyła się, czuje, że cierpi i zapragnęła życia. Pobledli oprawcy i wyzyskiwacze, rozległ się głos trwogi, łączą się ze sobą, jednoczą. opierają się na więzieniach, karach, wygnaniach, wzmacniają militarystykę... I oto my młodzi, synowie ich, krew z ich krwi, kość z ich kości, my stajemy w szeregach robotników, my, bojownicy ich wolności i szczęścia! Że my od starszych doznajemy drwin i upokorzeń, że nam się opierają i przeszkadzają, to zrozumiałe, ale wy młodzi, gdzie wy idziecie?

Na twarz jego wystąpiły rumieńce zapалу. Oczy błyszczały mu jak w natchnieniu, a Olga, która pochłaniała jego słowa, była nim zachwycona.

Zbrojski słuchał spokojnie, tylko od czasu do czasu patrzył na wyraz twarzy słuchaczy i znów spuszczał oczy, kreśląc laską znaki na ziemi.

— Kolego Żalecki — mówił zwolna — jesteście historykiem i dlaczego, rzuciwszy się na fale

dzi zdobywacie go, szturmujecie, walicie taranami wiedzy i poświęcenia, bo za tym murem kraj szczęścia! I zwyciężycie, ani na chwilę nie wąpie! Jak padły inne mury, padnie i ten, a sami twórcy jego, sami kapitaliści lub ich synowie będą walczyli w szeregach waszych, kruszyli ten mur, aby osiągnąć i ujrzeć kraj szczęścia!... Fałszywie osądziście mnie, bo nie byłem i nie jestem wrogiem socjalizmu.

Przez jakiś czas panowało milczenie, rozważano słowa jego, wreszcie przemówiła nieśmiało Olga:

— Wasz pogląd mógłby zniechęcić... mniej wierzących. Czyż wątpicie o szczęściu ludzkości?

— Nie, koleżanko... samo dążenie do szczęścia, chociażby urojonego, jest już szczęściem. Zawsze to walka ideału z materjalizmem chwili dzisiejszej.

— Dlaczego nie zapiszecie się w szeregi nasze? — spytał Żalecki — jeśli przyznajecie nam socyalistom słusność, jeśli wierzycie w nasze zwycięstwo, dlaczego odsuwacie się?

— Bo nie uznaję waszych sposobów i środków w tej walce. Wy jesteście, mojem zdaniem, tylko przednią strażą, która w zapale zdobywczym nie

zauważa, iż swoją bronią niszczy i kaleczy nie tylko swoich współtowarzyszy, ale i tych, w imię których walczy.

— A to już herezyja! — zaśmiał się Żalecki drwiąco. — Wybieg was niegodny.

— Wybieg? — podniósł zdziwione oczy — zdaje mi się, kolego, że jesteście bardziej jednostronni, aniżeli sądziłem. Wszak przed chwilą słyszałem, jak kolega Waldman wygłaszał zdania o przywłaszczeniu domów i mieszkań, o spalaniu kodeksów, o zabranii kościołów... i słuchaliście go chętnie, a może pochwalacie, bo to w duchu manifestu komunistycznego, waszej ewangelii — uśmiechnął się. — Na taką drogę ja się nie zgadzam.

— Dlaczego? — zawołał Waldman — znajdźcie lepszą, wskażcie; i owszem!

— Zaraz, kolego... zaraz... Dla szerokich mas ludowych, nie tylko u nas, ale w ogóle, stróżem etyki jest obawa przed przekroczeniem prawa i religia. Kolega Waldman, nie dając nic w zamian, głosi za spalaniem kodeksu, za zniszczeniem kościoła. — I więcej jeszcze, bo uprawnia i zachęca do przywłaszczenia wszystkich

warsztatów pracy. Warsztatem jest nie tylko ziemia i fabryka, ale stolik uczonego, biblioteka, pracownia fizyczne i mechaniczne i t. d. Otóż wy w ogniu walki rozpętujecie zwierzę w człowieku, obniżacie poziom umysłowy, macie uczucie sprawiedliwości, zabijacie w robotniku cywilizację wieków... Ewolucja etyczna waszych środków i broni musi nastąpić, bo ideał ludzkości może wprawdzie zakwitnąć wśród morza krwi, ale nieś muszą go czyste ręce, czyście charakter.

— To filozofia gabinetowa, przy zielonym stole, pomiędzy książkami — zadzwiał Waldman — ale chcąc zbudzić masy, trzeba brutalnych środków. Ze snu wiekowego nie budzi się łechtaniem i głaskaniem!

— Otwórzcie więc im drzwi i okna, niech płynie światło i ożywcze powietrze. Nie napawajcie ich goryczą i pragnieniem zemsty, nie plujcie na to, co kochali, w co wierzyli.

— Frazesy, kolego, frazesy! — uśmiechnął się z pewnym przymusem Żalecki — widać, że przyłgnęliście do narodowców.

(Ciąg dalszy nastąpi).



...Ty powinieneś być poetą, a nie socyalistą — zaśmiał się.

nowoczesnego socjalizmu, nie zabraliście busoli historii ludzkości?

— Życie kształtuje i pisze historię, a nie historia życie — odpowiedział szorstko.

— Zwolna kolego... zwolna! — uśmiechnął się — nie od was zaczęły się dzieje ludzkości, nie na was się skończą. Posłuchajcie chwilę... Ludzkość i jej najszlachetniejsi przedstawiciele zawsze dążyli i pragnęli szczęścia wszystkich ludzi. I w tym pochodzie ku szczęściu ludzkości, natrafiali na mury, dzielące ich od upragnionego celu. Pomijam mur strasznych bogów, przez zwyciężono go i w Grecji miało zakwitnąć szczęście. Lecz oto powstaje nowy mur. Człowiek panuje nad człowiekiem, pan nad niewolnikiem. To ten mur przedziela nas od szczęścia, precz z nim! Przy pomocy chrześcijaństwa padła zaporą szczęścia. Lecz znów okazał się wał zasłaniający. Feudalizm! Usunięto go, a roztesknione za szczęściem oczy dojrzały nowy mur, zbudowany z nierówności ludzi wobec praw. Wielka rewolucja skruszyła ten mur. I oto w sto lat później ludzkość staje przed nową zasłoną, kryjącą upragnione, wymarzone szczęście. Wszyscy zgadzamy się, że na świecie jest źle, że najlichnijszym załomkom ludzkości dzieje się krzywda... i oto owa zasłona, ów mur dzielący was od szczęścia ludzkości widzicie utworzonym z kapitalizmu, więc precz z kapitalizmem, niech żyje praca! I wy mło-

